TRZY RAZY HORN, CZTERY ANTARKTYKA, GEORGIA PO RAZ PIERWSZY



Na szczycie Lhotse, czwartej góry świata (8516 m)

Podejrzewam, że większość osób kojarzy mnie raczej jako himalaistkę. Cóż, wspinaczka na ośmiotysięczniki jest bardziej medialna niż żeglowanie, a nazwy takie jak Everest i K2 (na obu tych szczytach stanęłam) budzą większe emocje niż morza i oceany.

Mało kto jednak wie, że żeglarstwem zajmuję się o wiele dłużej niż górami. Nie będę tu przytaczała szczegółów swojego wodnego życiorysu, bo pisałam o tym już w innych książkach (*Kurs na Horn*, *Kurs Arktyka*, *Kurs Czukotka*, *Horn na trawersie*), wspomnę tylko o kilku faktach mających bezpośredni wpływ na historie opisane w tej książce.

To, że zaczęłam żeglować, to przypadek. Nie mieliśmy w rodzinie nikogo z wodną przeszłością. Ba, rodzice nie umieli nawet pływać. Tak się jednak złożyło, że będąc w siódmej klasie podstawówki i wracając, zdaje się, z próby szkolnego chóru (tak naprawdę to nie mam wcale dobrego głosu), trafiłam niechcący na zbiórkę drużyny harcerskiej. Co ważne, była to drużyna o profilu żeglarskim. Nie pamiętam, co wtedy zwróciło moją uwagę – musztra, mundury czy może drużynowy, który… po latach został moim mężem i jest nim do dziś (w roku 2026 obchodziliśmy trzydziestą szóstą rocznicę ślubu). Dodam jeszcze, że z czasem zaczęłam sama prowadzić 36 Warszawską Drużynę Harcerską, w której zastępowym był mój brat, przybocznym przyszły szwagier, a Paweł – przyszły mąż – kwatermistrzem i obozowym ratownikiem (słowa znanej piosenki „Monika, ach Monika, dziewczyna ratownika" okazały się w moim przypadku jak najbardziej trafne).

Wróćmy jednak do moich żeglarskich początków… Odkąd po raz pierwszy wsiadłam na łódkę – drewnianą, śródlądową Omegę – dosłownie przepadłam. Od tej pory zdecydowanie bardziej niż szkoła interesowały mnie roboty bosmańskie, teoria żeglowania, relacje z dalekich rejsów i tym podobne tematy, a zamiast chodzić z koleżankami na podwórko, wymykałam się do przystani Harcerskiego Ośrodka Wodnego, aby skrobać, malować, szpachlować, laminować, jednym słowem – remontować nasze łodzie.



Z harcerzami z prowadzonej przeze mnie drużyny żeglarskiej

Droga na morze była długa i pracowita. Pierwsze żeglarskie szlify zdobywałam na podwarszawskim Zalewie Zegrzyńskim, następnie były obozy na Mazurach i pierwsze rejsy na jachtach morskich – najpierw po Zatoce Gdańskiej, potem tak zwane morskie krajowe i wreszcie morskie zagraniczne. Gdy już Bałtyk dość dokładnie „przeorałam" (ile razy byłam na Bornholmie, nawet nie liczyłam), przyszła kolej na Morze Północne i marzenia o oceanie. Udało się w 1989 roku, gdy zakwalifikowałam się na rejs dla instruktorów



Everest i K2 w wersji górskiej i żeglarskiej

Mount Everest, K2 i ich żeglarskie odpowiedniki

harcerskich – przez Pacyfik, Kanał Panamski i Atlantyk na żaglowcu „Zawisza Czarny". Z planowanych czterech miesięcy wyszło ponad sześć, przez co ledwo zdążyłam na własny ślub, ale „co przeżyłam, to moje" – rejs był świetną szkołą – nie tylko żeglarstwa, ale w ogóle podróżowania, życia i społecznego obycia.

Przez lata pływałam na różnych jednostkach – na dużych żaglowcach (poza „Zawiszą" także na „Pogorii", „Chopinie" i „Darze Młodzieży"), choć częściej na małych jachtach. Tymczasem do wodnej pasji dołączyły też góry – również te bardzo wysokie. Zaliczyłam Koronę Ziemi (najwyższe szczyty wszystkich kontynentów) i cztery ośmiotysięczniki, a gdzieś tam po drodze wyszło, że ponoć jestem jedyną osobą, która ma na koncie dwie najwyższe na świecie góry (wspomniane na wstępie – Mount Everest i K2) oraz ich żeglarskie odpowiedniki, czyli przylądek Horn (dość często nazywa się go „żeglarskim Everestem"), a w roli żeglarskiego K2 Przejście Północno-Zachodnie, czyli z angielska Northwest Passage.



Załoga jachtu „Stary" w drodze na Horn

W tym miejscu zatrzymajmy się przy osławionym przylądku Horn, u wielu budzącym grozę... Miałam okazję opływać go aż trzy razy – przypomnę pokrótce te rejsy, bo co chwila w niniejszej książce o nich wspominam.

Pierwszy to moje dwumiesięczne żeglowanie w 2003 roku na polskim jachcie „Stary", kiedy dołączyłam do załogi w chilijskim porcie Valparaiso i płynęłam do Port Stanley na Falklandach/Malwinach. Przylądek Horn w tym rejsie mijaliśmy w odległości około 200 mil, rzecz jasna go nie widząc – głównym celem było dotarcie do Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego. Kapitanem jachtu był wtedy Jacek Wacławski, a ekipę, do której dołączyłam, stanowiło ośmiu szalonych chłopaków pragnących zostać najmłodszą załogą, jaka opłynęła Horn (średnia niewiele ponad dwadzieścia lat, tak więc umówiliśmy się, że mnie – leciwej trzydziestolatki – wliczać do załogi formalnie nie będą).



Przy przylądku Horn na rumuńskim „Phoenixie”

Mój drugi Horn to był rok 2016. Przyleciałam z Antarktydy, gdzie zdobyłam najwyższy szczyt Masywu Vinsona (4892 m), znajdującą się z dala od wybrzeży najwyższą górę Białego Lądu, tym samym kończąc zdobywanie Korony Ziemi. A potem zostawiłam w hotelu w Punta Arenas ekwipunek wspinaczkowy, zabrałam wcześniej zdeponowany sprzęt żeglarski i wsiadłam na czekający na mnie rumuński jacht „Phoenix”. Wyzwaniem był fakt, że łódka była mała – 9,5 metra długości, na dodatek drewniana i z bardzo słabym silnikiem (takie jachty na wody wokół Horn normalnie się nie zapuszczają), a mieliśmy ją prowadzić tylko we dwójkę – ja i Marius Albus, mój rumuński kolega, którego dwa lata wcześniej wraz z kolegami uratowaliśmy od niechybnej śmierci na Denali, najwyższej górze Ameryki Północnej (Marius stracił wówczas odmrożone palce i nos). Rejs był trudny, ale ciekawy, bo miałam wyjątkową okazję do dokładnego poznania okołohornowego archipelagu – na wielu wyspach schodziłam na ląd, zdobywając tamtejsze wzgórza.

A o tym, jak było z opłynięciem Hornu za trzecim razem, w 2026 roku na pokładzie „Hayata”, jachtu pływającego pod



Najtrudniejszy z moich rejsów to opłynięcie Czukotki na szwedzkiej „Annie”

kanadyjską banderą, ale z *de facto* polską załogą, dowiecie się z tej książki.

Szczerze mówiąc, ani trzecie już dla mnie opływanie Hornu, ani też dotarcie po raz czwarty na antarktyczne wody (poza rejsem na „Starym" i wspomnianą wyprawą wspinaczkową ponownie byłam tam jako pilotka wycieczki na luksusowym lodołamaczu), nie były czynnikami, które zdecydowały o dołączeniu do załogi „Hayata". Takim magnesem była wspominana we wstępie Georgia Południowa (nie mylić z amerykańskim stanem Georgia). Mam tu na myśli subantarktyczną wyspę położoną na południowym Atlantyku „gdzieś pośrodku niczego". Nie da się na nią dolecieć, można tylko dopłynąć, co nie jest ani proste, ani bezpieczne, zwłaszcza w przypadku jachtów, bo nazwa „wyjące pięćdziesiątki" dobrze określa, jakich wiatrów można się tam spodziewać.

Co mnie tam ciągnęło, dlaczego chciałam ponosić ryzyko, by na Georgię Południową dopłynąć? Powody były dwa. Pierwszy – przyrodniczy, a dokładniej zakodowane w pamięci obrazki z oglądanych za młodu telewizyjnych filmów o pingwinach królewskich. Olbrzymie stada sympatycznych nielotów podziałały na moją wyobraźnię na długie lata. Do tego równie ważny, jeśli wręcz nie ważniejszy, był jeden z moich podróżniczych i polarnych idoli – Ernest Shackleton. Tyle tekstów przeczytałam na temat jego wyprawy (więcej o tym w następnym rozdziale), że po prostu miejsca związane z Shackletonem chciałam zobaczyć na własne oczy. Szczególnie wzruszającym momentem pobytu na Georgii Południowej stały się odwiedziny grobu słynnego polarnika.



Od lat marzyło mi się, aby zobaczyć taki widok